
GRAŻYNA JONKAJTYS-LUBA

Z AUGUSTOWA DO PÓLNOCNego KAZACHSTANU

Pożegnanie z domem

Wczesnym rankiem tego dnia ludzie mieszkający blisko stacji kolejowej przynieśli wiadomość, że w nocy na torach ustawiono cały pociąg wagonów towarowych. Już od czasu lutowych wywożeń wszyscy w mieście wiedzieli, co to oznacza. Co chwila ktoś przerażony przybiegał do nas z tą wiadomością. Mama wróciła późno ze szkoły z konferencji, podczas której czytano protokół z wizytacji, zawierający bardzo pochlebną opinię sowieckiej wizytatorki o Mamy sposobie prowadzenia lekcji. Mama śmiała się i mówiła, że teraz po nagrodę pojedzie na Syberię.

Spodziewaliśmy się tego, gdyż w Palmową Niedzielę był u nas politrak z gimnazjum, Żyźniewski, który dokładnie spisał nasze dane personalne. Pomimo to na wiadomość o tych wagonach serca nam zamarły. Marysia pobiegła z koleżanką Mamy po chleb na drogę, gdyż mieliśmy w domu zbyt mało pieczywa, a było nas przecież ośmioro. Przed godziną policyjną przyszły do nas przerażone i zapłakane Babcia i Ciocia, matka i siostra Ojca. Przyszły nas pożegnać i przyniosły nam bochenek chleba i kawałek słoniny. Ich ówczesny lokator – żołnierz sowiecki ze straży granicznej – wrócił wieczorem do domu i powiedział im, że na pewno tej nocy będą wywozić ludzi wcześniej spisanych. Po wyjściu Babci i Cioci namówiliśmy do pójścia spać młodsze rodzeństwo: dwunastoletniego Stasia, który tego dnia miał podwyższoną temperaturę i ból gardła, dziesięcioletnią Terenię i ośmioletniego Antka. Same – Mama, Alina, Marysia, Jasia i Zosia – zostałyśmy w stołowym pokoju, zdenerwowane i oczekujące. Był z nami młody lekarz, Żyd z Łodzi, Rogoziński, który mieszkał wtedy u nas w naszym „panieńskim” pokoju z werandą. Wprowadził się on po naczelniku NKWD, który wyniósł się od nas po lutowych wywożeniach.

Siedzieliśmy razem rozważając „szanse” podróży. Raz jeszcze rozważaliśmy, czy dobrze się stało, że nie przeszliśmy przez „zieloną granicę” do zaboru niemieckiego, co zamierzaliśmy uczynić, aby uniknąć wywiezienia. Przeważała szalę na rzecz pozostania plotka-wiadomość, że w

czasie wywożenia łączą rodziny z więźniami. Ponieważ Ojciec od 11 października był w więzieniu i od trzech miesięcy nie mieliśmy o Nim żadnej wiadomości, postanowiliśmy zostać, chociaż bardzo nas namawiał na zmianę decyzji zaprzyjaźniony „przewodnik” ze wsi granicznej.

O godzinie 11⁰⁰ wieczorem rozległ się ostry, długi dzwonek do drzwi wejściowych. Mieliśmy śmieszny, staroświecki dzwonek „proszę kręcić”. Ktoś go musiał długo kręcić, żeby aż tak donośnie i bezlitośnie dzwonił. Doktor Rogoziński wycofał się do siebie i zamknął się na klucz. Marysia poszła otworzyć drzwi. Ręka jej bardzo drżała, ale drzwi musiały zostać otwarte.

Weszło ich siedmioro. Kobieta i sześciu mężczyzn: enkawudysta w błękitnej czapce, dwóch cywilów, bladych, z rozbieganymi oczyma, w długich ciemnych płaszczach i w „cyklistówkach”. Na koniec trzech żołnierzy z karabinami. Dwóch wyszło zaraz pilnować drzwi od ulicy i od podwórza. Enkawudysta zapytał:

– *Zdieś żiwiot siemija Januszkiewicz?* Mama powiedziała:

– Tak, tu.

Enkawudysta odczytał po kolei nasze imiona, nazwiska, daty urodzenia i powiedział:

– *Sowietskaja vlast’ prisuzdajet was k’ pieresieleniju na dalnyj Wostok.*

Mama na to:

– Dobrze. Tylko ta dziewczynka – wskazała Jasię – nie jest członkiem naszej rodziny i córką ojca-więźnia i może pozostać u drugiej ciotki.

Jasia jednakże powiedziała, że z nami wyjechała od swojej mamy, więc teraz też z nami pojedzie i z nami wróci.

Zaraz też, nie budząc dzieci, wzięliśmy się do pakowania. Enkawudystów zdziwił widok plecaków, przygotowanych w przedpokoju (na wypadek tego ewentualnego przejścia granicy). Mama im wyjaśniła, że dla nas dzisiejsza noc nie jest niespodzianką, gdyż już od kilku tygodni spodziewaliśmy się wywiezienia, i że to są spakowane podręczne rzeczy. Mogliśmy zabrać po 100 kilogramów na osobę. Enkawudysta radził zabierać jak najwięcej ciepłych rzeczy. Zapakowałyśmy więc futra Mamy i Ojca, kożuski, wszystkie nasze ciepłe płaszcze, koce, kołdry, poduszki i pościel, jaka ocalała z wrzeźnia, spod rąk ludzi, którzy plądrowali nasz dom, podczas gdy część rodzeństwa była z Mamą na Wołyniu u rodziców Jasi, Ojciec i Alina w Wilnie, a nasz najstarszy brat Broniek na wojnie. Pakowałyśmy ubrania, bieliznę, buty. Zabierałyśmy ubranie Ojca w nadziei, że Go do nas dołączą. Zabierałyśmy książki, podręczniki szkolne, roczniki „Iskier”, „Płomyka”, „Płomyczka”, „Trylogię”, „Pana Tadeusza”, „Bohaterskiego Misia”, zbiory poezji – zresztą wybór dość przypadkowy, bo jednak wszystko leciało nam z rąk.

Przy pakowaniu kuchni asystował jeden z żołnierzy, wyszukując i podając różne przedmioty. I tak zresztą nie zabrałyśmy wielu istotnych –

a jak się później okazało – bardzo przydatnych rzeczy. Wzięliśmy na przykład żelazko elektryczne zamiast węglowego lub „z duszą”. Wiadra, miski, naczynia i garnki układałyśmy w dużej skrzyni. Ubrania i pościel – w wielkich pakunkach, uszytych naprędce z wakacyjnych sienników i kap na łóżka. Przez cały czas po naszych półkach ze szkolnymi książkami i po szufladach biurka Ojca plądrowali dwaj cywile, wyrzucając wszystko na podłogę, zrywając pieczołowicie gumki ze wszystkich znalezionych pieczętek i wertując nasze podręczniki i zeszyty swoimi szczerzymi oczami. Kiedy już większość rzeczy była spakowana, obudziłyśmy dzieci. Wstały wystraszone, ale spokojne. Pomogłyśmy im umyć się i ubrać, szczególnie troskliwie pilnując Stasia, gdyż miał skłonność do bronchitów.

Była godzina druga w nocy. Enkawudysta zapytał, kogo Mama upoważni do opieki nad pozostawianymi rzeczami. Ponieważ Mama chciała tę opiekę przekazać Cioci, Marysia poszła po nią z jednym z żołnierzy. Babcia i Ciocia nie kładły się spać. Czekwały. Marysia uklękła przed Babcią na pożegnanie. Wróciła z Ciocią i żołnierzem do domu.

Na naszej ukochanej, starej kanapie rozłożyła się bolszewiczka. Spędziłyśmy ją z kanapy i usadowiłyśmy się same, głaszcząc i tuląc zdenerwowane i rozespiane dzieci, które ogromnymi oczami patrzyły w milczeniu na to, co się działo w naszym domu. Terenia była szczególnie rozżalona, gdyż jej ulubieniec, wielki czarny kot Filemon, nie wrócił z wieczornych spacerów i nie mogła go pożegnać. Czekaliśmy na transport.

O czwartej nad ranem zajęchała przed ganek ciężarówka. Poszliśmy wszyscy do pokoju dzieci, uklękliśmy i powtarzaliśmy za kamiennie opanowaną Mamą „Pod Twoją obronę” i „Kto się w opiekę odda Panu Swemu”. Zaczynało świtać. Teraz już trzeba było wychodzić. Ogromne paki z pościelą i ubraniami i wielka kuchenna skrzynia przerastały możliwości naszych rąk. Żołnierze stali i przyglądali się naszym daremnym wysiłkom. I wtedy enkawudysta w błękitnej czapce krzyknął na nich: „Czego stoicie i przyglądacie się? Nie widzicie, że to same kobiety i dzieci? Ładujcie rzeczy na samochód”.

Żołnierze ułożyli nasze pakunki, myśmy usiedli na wierzchu. Ciocia, płacząca i zrozpaczona, została na ganku. Za nią świeciły okna naszego opuszczonego i przewróconego do góry nogami domu. Była noc z piątku – dwunastego, na sobotę – trzynastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku.

Odwiecznym szlakiem zesłańców

W drodze na dworzec kolejowy, w półświatle wstającego dnia, spotykaliśmy nielicznych przechodniów, którzy na nasz widok wydawali okrzyki zdumienia i zgrozy. Znało nas przecież całe nieduże miasto. Po dwudziestu latach pracy nauczycielskiej Rodziców i ich zaangażowania w tworzenie instytucji kulturalnych i społecznych można bez przesady

powiedzieć, że po księdzu Dziekanie Wojciechu Choynowskim byli najbardziej popularnymi ludźmi w mieście. Ojciec był stałym członkiem Rady Miejskiej, a od zimy 1938/39 roku burmistrzem komisarycznym. Po drodze zajechaliśmy po panią Stasię P., żonę oficera miejscowego pułku ułanów. Mąż jej poszedł na wojnę, ona została z jego starą matką i z dwojgiem małych dzieci: dwupółletnim Rysiem i dziewięciomiesięczną Anią. Z nieprzytomnymi oczyma niosła teraz na rękach dzieci, teściowa w dwóch kapeluszach na głowie dźwiżyła w ręku koszyk z nocnikiem i kilkoma słoikami konfitur. Rzeczy ich na rozkaz tego samego enkawudysty wynieśli i ułożyli na ciężarówce żołnierze z eskorty. Pomogliśmy obu paniom z dziećmi wdrapać się i usadowić na pakunkach.

Na dworzec dojechaliśmy odprowadzani okrzykami rozpaczliwego zdziwienia mijanych ludzi. Na rozkaz enkawudysty eskorta wyładowała nasze rzeczy do wagonu. Był to duży, bydlęcy wagon z małymi, okratowanymi okienkami pod sufitem i z dwoma poziomami prycz. Wszystkie drzwi pociągu były otwarte i wszędzie ładowali się ludzie. Do naszego wagonu załadowano 32 osoby. Ponieważ byliśmy pierwsi w wagonie, zajęliśmy wraz z panią Stasią i jej rodziną wyższy poziom prycz, licząc na lepszą wentylację. Drżeliśmy wszyscy z zimna, niewyspania i zdenerwowania. Zwożono ludzi z okolicznych wsi, więc pociąg stał na stacji przez całą sobotę i do południa w niedzielę. Mieszkańcy miasta przychodzili, przynosząc żywność dla wywożonych. Do nas przyszły, aby nas jeszcze zobaczyć – Babcia i Ciocia. Nie mogły wciąż opanować płaczu. Przychodzili też nasi koledzy. Każdy przynosił coś do jedzenia. Nawet znajomi Rodziców z pobliskich wsi przyjechali nas pożegnać i przywieźli bochen wiejskiego chleba, kawałek słoniny, ser.

W niedzielę zjawił się politrak Żyźniewski sprawdzić pewnie, czy wszyscy jego podopieczni są już w wagonach. Mama zapytała go po polsku: „Cóż to, Żyźniewski, szukacie znajomych? Jesteśmy, jesteśmy!” Żyźniewski uśmiechnął się krzywo, ale nie było po nim widać, żeby to, co oglądał, wywarło na nim jakieś wrażenie. Były to przecież dla niego zwykłe sceny w długiej karierze enkawudysty.

W sobotę byliśmy świadkami wstrząsającego wydarzenia: wywożono rodzinę piekarza z przedmieścia, działacza robotniczego, który zwykle wygłaszał płomienne przemówienia na wiecach w dniu 1 maja. Został „w nagrodę” aresztowany przez bolszewików w październiku 1939 roku. Jego syn Józek, nasz kolega gimnazjalny, uciekł z domu do partyzantki, która już tworzyła się w okolicznych lasach. Kiedy mu dano znać, że jego matkę i siostry wywożą, przyszedł do nich z lasu na stację kolejową, żeby je pożegnać. Stąd go zabrali. Widzieliśmy, jak szedł w swoim szkolnym płaszczu, z opuszczoną głową, eskortowany przez trzech żołnierzy. Za nim leciał rozpaczliwy płacz matki.

W niedzielę wydawało nam się, że jesteśmy u skraju wytrzymałości. O myciu nie było mowy. Wychodzenie z wagonu w sprawach fizjo-

logicznych odbywało się pod eskortą żołnierzy. Ponieważ w naszym wagonie było kilka młodych dziewcząt – nas pięć i Lila Myślińska, którą z matką i z bratem przywieźli z ich domu na wsi – wciąż zaglądali do nas żołnierze, usiłowali dowcipkować i wybuchali głośnym, ordynarnym śmiechem. Zniecierpliwilo nas to w końcu i zaczęłyśmy im wymyślać. Około południa zasunięto drzwi wagonów, odganiając w sposób brutalny wszystkich zegnających, między innymi nasze zapłakane Babcię i Ciocię, i pociąg ruszył. Ludzie we wszystkich wagonach śpiewali pieśni religijne i patriotyczne. Nikt nie płakał. Płakali ci, co zostali. „Nasz” enkawudysta, przed samym zasunięciem drzwi wagonu, zajrzał do nas i powiedział: „Nie miejcie do mnie żalu, musiałem wykonać swój obowiązek. Myślę, że was przy tym dodatkowo nie skrzywdziłem”. Jego słowa przetłumaczyła nam potem Mama.

Więźniów nie dołączono do rodzin. Mieliśmy jeszcze nadzieję, że nastąpi to w Grodnie. Ale i tu dworzec był pusty i nasz transport szybko pojechał dalej. Po drodze doczepiano do nas inne wagony tak, że w końcu był to ogromny transport jadący na wschód. Nigdy nam się nie udało policzyć wagonów, gdyż postoje w lesie lub na stacjach, kiedy pozwalano nam wyjść, były bardzo krótkie i towarzyszyły im ochocze pokrzykiwania konwojentów: *Dawaj skorej w wagon!* Na każdej stacji, przez którą przejeżdżał nasz pociąg w ciągu dnia, czekały gromady ludzi z żywnością. Przynosili nam chleb, słoninę, jajka, sery, mleko w butelkach, a nieraz gotowane w łupinach kartofle. Były to nasze jedyne posiłki w czasie podróży przez terytorium Polski.

Mijaliśmy lasy, wsie i pola. Budziła się wiosna, śniegi już prawie stopniały, gdzieniegdzie tylko brudnawe łąty leżały pod drzewami. Wszędzie przebijała się młoda, zielona trawa, na słonecznych stokach nasypu kolejowego i na polanach leśnych kwitły sasanki, na suchszych łąkach i w lasach pasły się już nawet krowy. Na polach widzieliśmy ludzi orzących ziemię pod wiosenne siewy lub mijaliśmy rozległe smugi szmaragdowych ozimin. Na brzegach lasów bieleły się kuliste krzaki kwitnącej tarniny. Czasem widzieliśmy zgliszcza miasteczek i wsi ze sterczącymi ku niebu kominami. Przy torach i resztkach stacji kolejowych ziały ogromne doły po wybuchach bomb z września, ale już na to wszystko wracało powoli życie i ziemia zaczynała goić rany. Cały ten uroczy i tak umęczony kraj uciekał w tył pod kołami naszego pociągu, który raz prędzej, raz wolniej wiozł nas wciąż na wschód.

Którejś nocy otwarto z trzaskiem drzwi wagonu. *Skorzej, skorzej!* – krzyczeli konwojenci. Półspiący ludzie z rozespanymi i płaczącymi dziećmi musieli błyskawicznie wyładować się z wagonów polskich do szerokotorowych wagonów sowieckich. Wszystko odbywało się w ciemności, przy widmowym świetle księżyca, przeświecającego przez mgłę. Przekraczaliśmy granicę Polski z września 1939 roku. Zamknięto załadowane wagony i zaległa cisza. Staliśmy do rana. Dopiero wtedy nastąpiło

sprawdzanie obecności – odczytano wszystkie nazwiska i dane personalne „mieszkańców wagonów”.

Trwało to niesłychanie długo, gdyż okazało się, że na stacji w Baranowiczach stoi wiele transportów. Dawały się zauważyć oznaki pewnego zamieszania wśród konwojentów. Spowodowane ono było ucieczką kilku osób. Z naszego pociągu udało się zbiec kilku osobom. Była między nimi pani Salomea Przyrowska, żona inspektora szkolnego, aresztowanego przez Sowietów w jesieni 1939 roku. Udało się jej wrócić do Sejn. Zmarła w roku 1975, mając lat ponad 90. Mąż jej nie wrócił nigdy. W końcu konwojenci wrócili na swoje miejsca i pociągi jeden za drugim zaczęły ruszać. W okienku jednego z mijających nas pociągów zobaczyliśmy głowy naszych stryjecznych braci, którzy wraz z matką i siostrą też jechali na wschód. Krzyknęliśmy do siebie parę słów – i wagon przejechał.

Od tego dnia jechaliśmy przez teren Sowietów. Aczkolwiek charakter ziemi był taki sam jak naszych kresowych okolic – takie same lasy, pola, rzeczki, wsie i miasteczka – rzucały się w oczy ogromne różnice w sposobie zagospodarowania kraju. Był to już ósmy miesiąc od dnia wybuchu wojny, a nasze lasy wciąż nosiły ślady dobrej gospodarki. Po tej stronie widzieliśmy w lasach nie sprzątnięty chrust, nie przycinane, uschnięte drzewa i dzikie poręby z pniami drzew uciętych na wysokości ramion człowieka. Mijaliśmy nędzne wsie i miasteczka bez śladu ogródków przydomowych. W małych laskach i przy torach kolejowych pasły się zabiedzone, chude krowiny. W jakimś miejscu ze zgrozą zobaczyliśmy ludzi przy niewielkiej wysokości kopcach pokrytych darniną, z których wydobywał się dym. Kiedy przejeżdżaliśmy bliżej i można było przyjrzeć się dokładniej, zobaczyliśmy, że było to całe osiedle ziemianek – jam wykopanych w ziemi i nakrytych żerdziami, ziemią i darniną. Były to mieszkania ludzi.

Na jakiejś większej stacji pociąg stał dłużej i widzieliśmy pogrzeb miejscowego dostojnika, zapewne partyjnego, gdyż niezdarnie zbita trumna z surowych desek pomalowana była na jaskrawoczerwony kolor. W innym mieście pierwszy raz w życiu zobaczyliśmy ludzi leżących i śpiących w biały dzień na bruku, pomimo że był to kwiecień i dni chłodne. Na jednej ze stacji podkradł się do naszego pociągu chudy, wynędzniały chłopiec w obszarpanych resztkach szynela wojskowego i w oberwanej czubatej czapce. Przejmującym szeptem mówił: *Pany, dajcie chleba!* Spozregł go jeden z konwojentów i szybko biegł w jego stronę. Chłopiec uskoczył i ze zwinnością szczura zaczął uciekać i kluczyć pod wagonami. Żołnierz był jednak szybszy i silniejszy. Złowił go i na naszych oczach okrutnie zbił tę biedną, zagłodzoną ludzką istotę.

Wypuszczano nas z wagonów trzy razy dziennie na pięć minut. Konwojenci chodzili dookoła i krzyczeli: *Dawaj skórej pod wagon, a potem Dawaj skórej w wagon*, starannie sprawdzając pod wagonami, czy aby tam ktoś nie został. Te wychodzenia były szalenie męczące i

upokarzające, szczególnie dla starszych osób, którym było bardzo ciężko i niewygodnie chodzić przez tory pod wagony i tam jeszcze rozbierać się, kucać i wstawać – wszystko pod okiem brutalnych żołnierzy, przy akompaniamencie ordynarnych krzyków i dowcipów w rodzaju: „Babuszka, co tak długo, objadasz towarzyszy podróży, a potem czekać jeszcze na ciebie muszą”.

O wodzie do mycia trudno było marzyć, raz dziennie pozwalano nam brać wrzącą wodę z lokomotywy i od przekroczenia granicy, raz dziennie dawano nam gorący posiłek, złożony z gęstej zupy – grochówki lub krupniku – i talerza gęstej kaszy z łyżką oleju wlanego w dołek wykręcony na czubku stożka kaszy. Do tego dawano trzysta do pięciuset gramów ciemnego chleba, okropnego „gniota”, sypiącego się i niesmacznego. Gospodarze ze wsi jadący z nami w wagonie mówili, że chleb jest pieczony z domieszką mąki z prosa i kukurydzy. Od tego „chleba” Marysia dostała silnej biegunki, z której Mama wyleczyła ją, dając jej do wypicia kieliszek wódki. Do mycia rąk łapaliśmy w czasie deszczu nieco wody z dachu wagonu przez okienka, które nie były okratowane. Czasem udawało się nam schwycić trochę wody w czasie postojów na stacjach.

W mijanych miejscowościach pani Myślińska wychylała się przez okienko i niezależnie od wielkości osiedla niezmiennie pytała konwojentów: *Bojec, budtie lubieznyj, skazitie mienia pozałujsta, kakaja eto dieriewnia?* – co ich w przypadku większych miast przyprawiało o wściekłość i odpowiadali: *Nu sztoż, tiotka, razwie nie widisz, wied' eto gorod* – i wymieniali nazwę stacji. Na to p. Myślińska: *Sztoż wy goworitie, a ja dumala, szto eto takaja bolszaja dieriewnia!*

W miasteczkach widać było krzywą zabudowę, nędzne, źle oświetlone ulice, nie otynkowane domy. Po ulicach chodzili zabiedzeni, szaro ubrani ludzie o posepnych, zgaszonych twarzach. Na takich „rozrywkach” upłynął nam czas aż do Uralu. Pojawiły się wspaniałe widoki: dzika przyroda, olbrzymie, pod niebo sięgające góry, przez które przejeżdżaliśmy w ciągu dwóch dni tunelami lub głębokimi wąwozami. Mijaliśmy wspaniałe lasy, nieruchome, ciche i ogromne, puste przestrzenie bezludnego kraju. Przejechaliśmy stacje kolejowe: Ufę, Złatoust, Czelabińsk, Swierdłowski, zdając sobie sprawę, że te góry oddzielają nas od świata kultury i życia, w którym wyrosliśmy i żyliśmy dotychczas. Wjeżdżaliśmy do Azji. Uświadamialiśmy sobie, jak daleko jesteśmy od domu, od kraju. I cały czas jechaliśmy sami: więźniów do nas nie dołączono.

Przejechaliśmy Ural. Przed nami rozciągnęły się bezkresne równiny stepów Azji. Na stacji Kurgan wypuszczeni zostaliśmy nareszcie na godzinny spacer. Co za ulga! Nawet w sprawach potrzeb fizjologicznych można było pójść do pobliskiego brzoźowego lasu bez konwojenta! Można było umyć twarz i ręce – oczywiście w kolejce – pod kranem stacyjnym. Dzieci biegały. Nawet starsze osoby udało się wyprowadzić z

wagonów na ten dobroczynny spacer. Po upływie godziny wróciliśmy do wagonów. Zasunięto i zaryglowano drzwi i pociąg ruszył.

Dnia 28 kwietnia obudziliśmy się rano. Uderzyła nas cisza i bezruch pociągu. Ten stan trwał dość długo. Ktoś z nas zastukał w drzwi. Konwojenci odsunęli zasuwę i otworzyli. Wyszliśmy z wagonu. Okazało się, że zostały tylko trzy wagony z całego naszego transportu. Reszta pociągu pojechała dalej, lub wagony w nocy zostawiono po drodze na innych stacjach. Trzej konwojenci, przydzieleni do „opieki” nad nami, pomogli wyładować rzeczy.

Stacja nazywała się Smirnowo. Dookoła roztaczał się pusty, szary i bezbarwny o tej porze wczesnego przedwiośnia – step. Za stacją był mały gaik brzozy. Białe, zauralskie słońce świeciło nad tą pustą, smutną ziemią. Po chwili przyszli do nas ludzie z widniejącego za laskiem osiedla i przynieśli jajka malowane na czerwono. Była to ich Przewodnia Niedziela. Wśród Polaków wyładowanych z wagonów – około 60 osób – znaleźliśmy jeszcze innych znajomych. Byli to żona i synowie urzędnika z elektrowni w naszym mieście – Witek i Władek Łęgiewiczowie z matką. Witek „wrócił do ojczyzny” – jak mówiła jego matka – gdyż urodził się gdzieś pod Uralem w 1919 roku, gdzie w tym czasie przebywali jego rodzice.

Tego ranka przyjechały pierwsze ciężarówki, rozwożące Polaków na miejsca przeznaczenia. Swoje pakunki przemieszciliśmy z tobołkami pani Stasi, żeby z nią razem pojechać do miejsca osiedlenia, sądząc, że przyda się jej nasza pomoc ze względu na małe dzieci i na wpół-zdziecinniałą teściową. Staraliśmy się też trzymać blisko Władka i Witka sądząc, że wspólnie łatwiej nam będzie zorganizować życie. Pierwszego dnia ciężarówki zabrały cztery rodziny. Ci, którzy zostawali na stacji Smirnowo, mieli przed sobą konieczność spędzenia nocy na stepie. Młodzi daliby sobie radę, ale dla starych ludzi i dzieci sprawa przedstawiała się tragicznie. Była w tej grupie pani N. z naszego miasta z trzema córkami – 5-14 lat – i dwoma starszycami: swoją na wpół głuchą matką i teściową, bardzo tęgą i z ogromnie opuchniętymi nogami starą osobą. Dla wszystkich starych ludzi i dzieci trzeba było szukać schronienia na noc.

Witek i Władek przywieźli ze sobą rower. Stał on teraz oparty o zwaloną stertę pakunków wszelkiego rodzaju, błyszczący i szlachetny w swojej smukłości – jak zjawisko z innego świata. Przyciągał on bardzo oczy naszych opiekunów – konwojentów. W końcu jeden z nich podszedł do Witka i powiedział: *Pareń, daj-ka pokatatsa! Chotielby ja piered smiertiu na takoj maszinkie poprobawat!* Oczywiście, Witek dał mu *pokatatsia*. Śmiało się bardzo z jego nieudolnych początkowych prób, ale widocznie chłopiec w marzeniach doskonale opanował jazdę na rowerze, gdyż po pewnym czasie jeździł jak szalony z uśmiechem szczęścia na twarzy i w błękitnych oczkach.

Alina i Marysia chodziły dookoła budynku stacyjnego, były w lasku brzozowym i ze ściśniętym sercem oglądały bezmierną, przygnębiającą pustkę, rozciągającą się aż po horyzont. Urozmaicały ją tylko brzydki, zaniedbany budynek stacji, opuszczona wieża wiertnicza pozostawiona tu przez geologów oraz dwa szeregi wysokich na trzy metry drewnianych płotów, osłaniających tory kolejowe przed zaspami w czasie burz śnieżnych. Wysokość tych płotów świadczyła o ilości śniegu pędzonego tu przez wiatr w zimie. Teraz ziemia dookoła pokryta była brunatną trawą i suchymi resztkami roślin. Czasem podmuch wiatru przetaczał po tej równinie uschnięte, kuliste krzaczki „perekatypola”. Nad tym wszystkim wisiało blade słońce bez promieni na tle szarego, zaciągniętego jednostajnymi chmurami nieba.

Szare twarze wygnańców, od wielu dni nie mytych, wymęczonych podróżą i niewyspanych, tworzyły na tle otoczenia przygnębiający obraz, jakby zapowiedź losu, który ich na tej ziemi czekał. Zmęczenie, rozpacz i lęk przed przyszłością znalazły wreszcie ujście w płaczu. Alina i Marysia, stojąc w lasku brzozowym i patrząc poprzez drzewa na beznadziejny krajobraz, nie ocierały nawet łez, płynących im z oczu niewstrzymanym strumieniem. Wtedy znalazła je Mama i powiedziała: „Córeczki, wszędzie żyć musimy. Jesteśmy, chwała Bogu, zdrowe, mamy ze sobą młodsze dzieci, o które trzeba zadbać – i dużo ludzi, którym trzeba będzie pomóc. Musimy być silne. Spójrzcie, ziemia i nawet rośliny wszędzie są jednakowe. Taka szara trawa rośnie i u nas w suchych, słonecznych miejscach, a takie same żółte kwiatki pięciornika i u nas o tej porze zaczynają kwitnąć”. Przyrodnicze zamięłowania naszej Mamy jeszcze niejednokrotnie miały nam w przyszłości przywracać równowagę.

Dzieci przez cały czas podróży były bez mleka. Alina, Marysia, Władek i Witek wyprawili się więc na poszukiwanie mleka w okolicy. Mogli porozumieć się z miejscowymi ludźmi, gdyż dwudziestoletni Witek, maturzysta z wiosny 1939 roku, poszedł we wrześniu jako ochotnik do wojska, walczył pod Lwowem i dostał się do niewoli sowieckiej. Przebył tam cztery miesiące i na krótko przed wywożeniami wrócił do matki i brata; ojciec ich od listopada 1939 był w więzieniu sowieckim. Z pobytu w obozie jenieckim wyniósł Witek znajomość kilkunastu zwrotów i mały zasób słów rosyjskich. Był więc teraz przewodnikiem i tłumaczem.

Znaleźliśmy mleko w chacie mieszkańca w osiedlu za laskiem brzozowym. Przy okazji sprzedaży mleka uzalali się ludzie nad nami, że za rok, jeżeli wywiozą nas do kołchozu, śladu nie zostanie po naszej – jak mówili – pańskiej urodzie: szerniejemy, ręce nam zgrubieją, będziemy chodzić w łachmanach, w dzień i w nocy nie będzie spokoju, gdyż będą nas wyganiać do roboty. A nie daj Boże głośno narzekać! Zaraz w nocy – stuk, stuk w okno – i czarnym samochodem przyjadą enkawudysci zabrać takiego malkontenta w nieznane, na nieokreśloną liczbę lat. Całkiem nas to zgnębiło. W czasie rozmowy zagotowało się nasze mle-

ko. Gospodarze pożyczyci nam nawet dzbanka. Wróciliśmy do naszych koczowników. Dzieci dostały gorącego mleka.

W czasie naszej nieobecności do grupy Polaków przyszli dwaj miejscowi agitatorzy i przemawiali bardzo wzniośle o tym, jak to nas się zatrudni „według specjalności” i jak to się nam światopogląd odmieni pod wpływem życia w blaskach słońca sowieckiej konstytucji. Kiedy oni skończyli, nasza Mama, która znała dobrze język rosyjski, powiedziała do nich: „Tak nam dużo obiecujecie, a traktujecie nas gorzej niż było! Krów z młodymi cielakami nie zostawilibyście na noc na mrozie i wietrze bez dachu nad głową, a nas z dziećmi zostawiacie. Idzie noc, a my nie mamy żadnego schronienia”.

Ten argument był trafny. Agitatorzy bardzo się zmieszali i zabrali Mamę ze sobą do miejscowej szkoły. Wszystkie starsze kobiety i dzieci miały na noc schronienie w szkole, dokąd ich potem zaprowadziła nasza Mama. Młodzież została przy rzeczach. Dostaliśmy u okolicznych mieszkańców trochę chleba i kartofli, które upiekliśmy w ognisku. Przygotowaliśmy się do spędzenia bardzo zimnej nocy pod gołym niebem. Trzeba było czymś ogień podsycać. Ile mogliśmy, tyle zebraliśmy suchych gałęzi i podeschłych brzózek w lasku, ale mało tego było z uwagi na długą noc, jaką mieliśmy przed sobą.

Z nastaniem ciemności któryś z chłopców wpadł na wspaniałą myśl: „Wykorzystamy do podsycenia ognia połamane deski z ochronnych płotów wzdłuż torów”. Deski były bardzo długie i tak szerokie, że jednej wystarczało na parę godzin. Z łamaniem desek czekaliśmy na przejeżdżające pociągi. Lokomotywy wydawały przeraźliwy, smutny jęk mijając stację z wielkim łoskotem ciągniętych wagonów. Była to dla nas sprzyjająca okoliczność, gdyż ten łoskot zagłuszał trzaski łamanego drzewa. Na długich deskach w razie zbliżania się kolejarzy kładł się Władek, rozciągając się w swojej długiej na 190 centymetrów postaci i zarzucając jeszcze ręce za głowę.

Przesiedzieliśmy noc, przeszedł następny dzień. Znowu trzy ciężarówkiabrały część wygnańców. Wśród nich panią Stasię z dziećmi i teściową. Konwojenci troskliwie wybrali jej rzeczy spomiędzy naszych. Na kolejną noc zostało nas już tylko 30 osób. Znowu ognisko, znowu łamanie płotów. Dzieci i starsze osoby drugą noc spędziły w szkole, gdzie matki ugotowały nawet jakiś posiłek dla wszystkich. Dopiero rano 1 maja przyjechały ciężarówki po ostatnich wygnańców. Nas załadowano razem z panią Myślińską i jej dziećmi oraz z jeszcze dwiema rodzinami – razem 16 osób. Rozjechaliśmy się, żegnając się wzajemnie życzeniami spotkania i zdrowia oraz opieki Bożej.

Droga wiodła przez zupełnie płaski kraj, pustym o tej porze roku szarozółtym stepem. Co pewien czas na horyzoncie ukazywały się rzadkie zabudowania, potęgując jeszcze wrażenie pustki. Droga była tak zwana gruntowa, toteż wzbijane przez samochód tumany kurzu wkrótce po-

kryły dokładnie wszystkie nasze pakunki i nas samych. Mieliśmy czarne twarze, w których tylko czerwieniły się zmęczone oczy. Po trzech godzinach jazdy dotarliśmy do kołchozu imienia Czkałowa, w rejonie lenińskim, który był miejscem naszego przeznaczenia. Kierowca zatrzymał się przed biurem i wraz z konwojentem weszli do środka. Naszą ciężarówkę natychmiast otoczyła gromada mieszkańców, przypatrując się „panom z Polski” z wrogą ciekawością. Kierowca i konwojent wrócili i okazało się, że mamy jechać do posiółka Poputnia, oddalonego od głównej wsi o cztery kilometry.

Poputnia

W Poputni wylądowano nas przed stojącą na uboczu chatą. Przyjechał sam *predsiedatiel* kołchozu im. Czkałowa, Grigorij Siemionowicz Łucenko, pijaniuteńki z okazji 1 maja i pomógł nam „osobiście” znieść toboły do tej chaty, która miała być naszym domem. Pozostałych Polaków odwieziono do innego domu.

Chata przeszła nasze najśmielsze marzenia. Przez dwa tygodnie podróży układaliśmy sobie plany, jak też zagospodarujemy się na Syberii w malutkim domku, nawet jeżeli to będzie tylko kuchnia i pokój z podłogą z surowych, niemalowanych desek, którą przecież można utrzymać w czystości. Dom, do którego nas przywieziono, zbudowany był z cegieł wykonanych z gliny zmieszanej ze słomą. Składał się z chlewika, w którym stała krowa i prosiak, dość obszernej sieni z jednym malutkim okienkiem, i z jednej izby mieszkalnej, w której było okno naprzeciwko drzwi. Na prawo przy drzwiach stał wielki piec chlebowy. Między nim i ścianą z oknem był duży zasiek na pszenicę, wypełniony ziarnem. Leżały na nim derki i płachetki, na których sypiała rodzina Pawła Osipowa, właściciela domu. Sam gospodarz przebywał „w podróży służbowej” do rejonu. W domu była gospodyni i jej dwie córeczki: pięcioletnia Rajka i półtoraroczna Nusia, która jak zwykle dzieci w jej wieku, śpiąc na tej pszenicy, siusiała beztrąsko pod siebie. Gospodyni pokazała nam fotografię męża, na której wyglądał on przerażająco.

Podłogę izby stanowiło ubite gliniane klepisko. Przestrzeń do życia mieliśmy niezmiernie ograniczoną. Na kawałku klepiska o powierzchni 6-7 metrów kwadratowych musieliśmy się zmieścić w dzień i w nocy. Ułożyliśmy pakunki pod ścianą, w sieni urządziliśmy kąpielnicę, sami zasiadaliśmy nieruchomym rzędkiem na ławeczce wzdłuż ściany naprzeciwko pieca. Trzeba było jednak jakoś zorganizować życie. Wyjęliśmy z paki wiadra, jakieś garnki. Do studni było blisko. Trudności wynikały przy gotowaniu: do tego celu służył tu wielki, żeliwny garnek o egzotycznym dla nas kształcie, rozdęty w części środkowej, zwężający się ku górnemu otworowi i z bardzo wąskim dnem, tak zwany *czugun*, wpuszczony i wmurowany w palenisko malutkiej kuchni – *galanki*. Garnek ten służył do gotowania jedzenia dla prosiaka, potem myło się go dokładnie

wybierając wodę szmatką i gotowało się jedzenie dla ludzi. My – oczywiście – nie mogliśmy jeszcze wtedy obejść się bez herbaty do popijania przy jedzeniu kupionego na wsi chleba (jeszcze wtedy był tu wspaniały, wysoki, wyrośnięty pszenny chleb o znakomitym smaku), ale ta „herbata” miała odrażający zapach i pełna była tłustych ok. Piliśmy ją z jedynie dostępnych tu kubków z grubej gliny, szorstkich i kaleczących nam usta. Na noc rozłożyliśmy na klepisku tobołki z zaszytymi w nich rzeczami, wydobywając tylko koce, poduszki i dresy, i tak spaliśmy z głowami przy ścianie, a nogami oparci o zasiek i piec.

O czwartej rano Osipowa wstała do krowy i w ciemności deptała nam po nogach. Zaczął się dzień – drugi dzień naszego pobytu w Poputni. Rano złożył nam kurtuazyjną wizytę Grigorij Siemionowicz, aby się dowiedzieć, jak się też urządziliśmy. Na pytanie Mamy, czy nie miałyby dla nas jakiegoś większego pomieszczenia, wybuchnął beztróskim śmiechem i oświadczył rozbrajająco: „Nie oczekujcie tu wygod, jesteście przecież *wragi naroda i was na to gdzieś przywiezli, sztab’ wy podochli*”. Po tej szczerzej wypowiedzi nie mieliśmy już złudzeń co do przyszłego układu stosunków.

Trzeciego maja spadł wielki śnieg. Poprzedniego dnia wieczorem Alina – za namową Osipowej – rozczyniła ciasto na chleb z mąki kupionej na wsi, żebyśmy mieli co jeść, ale od rana śnieg uniemożliwił nam zebranie na stepie tak zwanego „paliwa”, na które – jak nas oświeciła nasza gospodyni – składał się suchy nawóz, patyki, korzenie roślin oraz kępki suchej trawy. Póki nie zaczęliśmy spostrzegać tego pod nogami, wracaliśmy ze stepu z pustymi torbami, ale Osipowa pokazała nam te „skarby” i nauczyła je zbierać. Nauczyliśmy się wtedy używać torby, tak zwanej *a-woški*, którą trzeba było stale nosić ze sobą, bo „a-nuż” (*a-woś*) trafi się coś wartościowego, jakaś zdobycz: suchy patyk, kłapeć suchego nawozu, dobry gwóźdź, kawałek drewna lub skóry – wszystko może się przydać i wszystko trzeba podnosić. Teraz jednak step był grubo pokryty śniegiem i groziło nam zmarnowanie wielkiej ilości ciasta chlebowego. I wtedy okazała się wielkoduszność Emilki Osipowej: oddała nam swój „żelazny zapas” drzewa brzoźowego, trzymany na wypadek katastrofy zimna. Gospodyni sama napaliła w piecu, rozgarnęła żar i pomogła nam upiec pierwsze bochenki syberyjskiego chleba. Drzewo było tu po prostu skarbem, gdyż las był oddalony o 30 kilometrów od Poputni. Otaczał widoczną na horyzoncie „sopkę” – górę o idealnym kształcie stożka wulkanicznego. Od pierwszego dnia fascynował nas ten widok. Był jedynym urozmaiceniem płaskiego krajobrazu i przyciągał „nieznanym” i obietnicą jakiejś ciekawej przygody. Ale obecnie nasza uwaga i wysiłki skierowane były na przystosowanie się do nowych warunków życia.

Z powodu wielkich śniegów nie było prawie mowy o wychodzeniu z izby i nasza ósemka oraz trzy osoby z rodziny gospodarza siedziały w izbie, wykonawszy niezbędne czynności. Przez cały dzień izba pełna

była ciekawych, którzy przychodzili oglądać „panów z *Polszy*”. Mężczyźni i kobiety z dziećmi na rękach ładowali się do tej ciasnoty i godzinami przyglądali się nam, cisnącym się pod ścianą na ławeczce. Bezczynność na dłuższy czas była dla nas niemożliwa, toteż wydobyliśmy książki, jakieś roboty na drutach, cerowanie skarpetek – wszystko było komentowane i kwitowane śmiechem lub uwagami w niezrozumiałym dla nas wówczas, okropnym języku. Wszyscy „goście” gryźli pestki słonecznikowe, wrzucane do ust zręcznym ruchem. Wyplute łupiny wisiały im fantazyjnymi festonami na brodach (była to sztuka, której nigdy nie zdołaliśmy opanować).

W tym dniu wrócił gospodarz, Paweł Osipow. Obawialiśmy się go bardzo, gdyż na fotografii, wykonanej przez jakiegoś „artystę” z rejonu, miał odstraszący wygląd i był dla nas uosobieniem bolszewika. Okazało się jednak, że był to całkiem porządny i łagodny człowiek. Miał ponure życie – jak wszyscy w tym kraju – i rysy twarzy układały mu się w posępny grymas. Zaskoczony trochę „gośćmi” pogodził się szybko z losem. Na drugi dzień wyгнаł ciekawskich, mówiąc do nich: „*Szto eto, ludiej nie widieli?* Baby, wynoście się do domów, popatrzcie, te przyjechały i zaraz coś robią. A wy co – nic do roboty nie macie? Nie wnoście nam tu błota i zimna”. I wszyscy się wynieśli.

Do naszej Mamy Paweł mówił początkowo *tiotka*, potem *choziajka*, w końcu zapytał: *Kak wasze imia i otcziestwo?* – i zwracał się do Mamy „Maria Antonowna”. Mama uczyła go rachunków i pisania, bo dotychczas tę sztukę miał opanowaną w minimalnym stopniu. Urządzała mu więc dyktanda wieczorem przy świetle tak zwanej *kopciłki*, do której – niestety – musieliśmy zacząć się przyzwyczajać. Miało to być jedyne źródło światła dla nas, przez wszystkie nadchodzące lata, w długie zimowe wieczory i noce.

Była to zwykle mała buteleczka po jakimś lekarstwie o pojemności około 200 gramów. Napęniało się ją *kierosinem*, to jest brudną mieszanką ropy naftowej z naftą, czyli paliwem z traktorów. Na otworze szyjki tej butelki umieszczano się kółko z blachy o średnicy 25 milimetrów z wprawioną w środek krótką rurką grubości ołówka. W tę rurkę wpychało się pasemko skręconej waty lub nici bawełnianych. Zanurzony w tym smarze knot palił się nad buteleczką, dając światło czterokrotnie mniejsze niż zwykła świeca.

Czas płynął, śnieg leżał na stepie, mieszkanie w tych warunkach stało się koszmarem, ani o myciu, ani o praniu mowy nie było. Nasza przedsiębiorcza Mama wyruszyła na wieś szukać polepszenia naszego losu – i znalazła dla nas mieszkanie.

Ósmego maja przeprowadziliśmy się do chaty babuszki Łondarki i jej córki Nastii Nazimowej. Mieszkały one przy głównej drodze, na końcu wsi, w miejscu gdzie był lekki zakręt i zaczynała się droga do Awierjanowki – głównego osiedla kołchozu im. Czałowa. Dom babuszki był

duży, o stromym dachu krytym strzechą, z dwóch stron domu była przyzba i rosły przy nim cztery wysokie włoskie topole. Z powodu tych drzew – jedynych w całym kolchozie, to znaczy w obu wsiach – dom babuszki Łondarki nazywano „domem z sadem”. Przy zakręcie drogi była wielka studnia z żurawiem, przy której poiono bydło kolchozowe wracające wieczorem z pastwiska.

Do domu wchodziło się po ułożonych na kształt stopni dwóch dużych kamieniach i przez wysoki próg – do przestronnej sieni, oświetlonej oknem. Z sieni na prawo było wejście do obórki, a na lewo – do kuchni, w której był wielki chlebowy piec i łóżko. Z kuchni drzwi prowadziły do malutkiej izdebki z jednym oknem, wychodzącym na drogę. Właśnie tę izdebkę babuszka Łondarka odnajęła Mamie. Powód był – jak nam powiedziała Osipowa – następujący. Nastia, córka Łondarki, gruba, ospowata baba, jedyna w Poputni traktorzystka – a więc rodzaj „pozytywnej bohaterki” – pobila się z mężem i obie z matką wyrzuciły go z domu. On odgrażał się, że wróci je pozabijając.

Babuszka wynajęła więc nam tę izbę dla zapewnienia sobie większego bezpieczeństwa. Nad nami zaś zawisła groźba uczestniczenia w rodzinnych porachunkach. Na szczęście póki tam mieszkaliśmy – do niczego takiego nie doszło.

Po załatwieniu „formalności” z nową naszą gospodynią – przeprowadziliśmy się do naszego nowego mieszkania wozem zaprzężonym w woły, którego nam użyczył łaskawie Grigorij Siemionowicz. Nastia lizała rany i blizny siedząc na piecu. Oczy miała podbite, czerwone białka i fioletowe obwódki, sińce na policzkach i brodzie. Myśleliśmy, że ona ma te czerwone białka od pracy na traktorze, jako że pierwszy raz w życiu widzieliśmy kobietę-traktorzystkę. Nastia – zaiste – była postacią imponującą. Głos miała donośny, sama była wielka, gruba i silna jak koń. Zeszła z legowiska, wyniosła z obórki kilka brzozowych okrągłaków i pomogła nam zbić prymitywne prycze dla pięciu osób. Dla jednej mieliśmy przywiezione z domu składane letniskowe łóżko. Dwie pozostałe osoby musiały sypiać wprost na klepisku. Rozpakowaliśmy wreszcie toboły i z Nastią poszliśmy napychać sienniki słomą ze sterty na polu. Męczyliśmy się potem z tymi wielkimi siennikami, a ona jednym ruchem zarzucała sobie taki siennik na głowę i szła do domu swobodnie, jakby nic na głowie nie niosła. Nareszcie mieliśmy wygodne spanie. Wyjęliśmy prześcieradła, kołdry i koce włożyliśmy do pokrowców z koronkami. I tak też spały te dwie osoby na klepisku. Wieczorem zamknęliśmy drzwi i byliśmy znowu sami w czterech ścianach.

Rano odwiedził nas Grigorij Siemionowicz i chodząc w zabłoczonych butach między naszą białą pościelą rozłożoną na klepisku, trącał nas trzonkiem bata, „zapraszając” do roboty w polu: *Ajda, dziewczki, na robotu!*

Gdy tylko śnieg stopniał, do pracy w polu poszedł dwunastoletni wówczas Staś. Zaczął od razu orać i bronować wołami. Alina, Marysia,

Zosia i Jasia chodziły wraz z kobietami z kołchozu i z innymi Polkami pleć pszenicę na kołchozowe pola. Do pracy wychodziły rano o godzinie szóstej i musiały przejść w jedną stronę dziesięć kilometrów. Gleba w Kazachstanie jest wspaniała, niezwykle urodzajna, tak że dobrze uprawiona całymi dziesiątkami lat rodzi bez nawożenia, dając bardzo obfite plony. Każda ziemia wymaga jednak starannej uprawy. Tu zaś, celem wypracowania większej normy dziennej, oracze kołchozowi wymyślili i stosowali oranie „co drugą bruzdę”: orano pierwszą, opuszczano drugą, orano trzecią, ziemia odłożona lemieszem przy oraniu trzeciej bruzdy pokrywała pas nie zaoranej ziemi drugiej bruzdy – opuszczano czwartą, orano piątą – i w ten sposób całe pole. Z odległości trudno było zorientować się, czy pole zaorane jest prawidłowo, gdyż całe było pokryte poruszoną ziemią. Pod wieczór przychodził *uczotczik* z wysokim trójkątem zbitym z listewek – tak zwanym *arszynem* (sążnieniem) – szybko przebiegał pole, mierząc ilość zaoranych hektarów, i nie sprawdzając jakości wykonanej pracy szybko biegł dalej. Pszenica, siana potem w tę niechlujnie uprawioną ziemię, ginęła zaraz po wykiełkowaniu w morzu chwastów. „Pielenie” jej polegało na szybkim przebieganiu przez pole i zrywaniu górnej części ostów i innego zielska zasłaniającego zboże.

Kiedy majowy śnieg stopniał, powiały wysuszające wiatry. W ślad za nimi przyszły upalne dni i cały step pokrył się różnobarwnymi kwiatami. Najwcześniej zakwitły białe sasanki, kryjące się przed chłodem w puszystych listkach jak w kozuszkach. Potem rozwinęły się cudowne, ogromne jak gwiazdy białe zawilce, których drobniejszą odmianę znaleźliśmy z naszych lasów. Następnie zakwitła trawa, zwana tu *kawyl*, podobna do trawy z puszczy węgierskiej: kwiaty jej tworzyły źdźbła pokryte na całej długości wiotkimi, srebrzystymi włoskami. Wiatr poruszał trawę – i step falował jak bezkresne, srebrzyste morze. Na koniec pojawiły się białoróżowe dzikie róże i całe mnóstwo większych i mniejszych różnobarwnych kwiatów. Nad tym kwitnącym stepem rozpinało się bezkresne, błękitne, czyste niebo i zanosił się śpiewem skowronki. Wszystko to budziło w nas fale ogromnej tęsknoty i napełniało poczuciem przytłaczającej krzywdy.

W pierwszych tygodniach przynosił nam ulgę płacz – łzy, wypłakiwane głośno w tę falującą, srebrzystą trawę. Ale trzeba było żyć. Stopniowo zaczynaliśmy twardnieć. Trzeba było zdobywać żywność. Trochę ubrań wymieniliśmy w sąsiednich wsiach na mąkę, jakieś drobiazgi na mleko i masło. Ten maj był trudny i piękny zarazem.

Zaatakowała nas febra syberyjska: wysoka gorączka, szalony ból głowy, objawy grypy, połączone z wielkim osłabieniem i depresją psychiczną. Mieliśmy ze sobą trochę lekarstw z Polski, ale ani proszki od bólu głowy nie przynosiły ulgi, ani aspiryna nie skutkowała w zwalczaniu tej choroby. O pomocy lekarskiej – oczywiście – mowy nie było. Można było liczyć tylko na opiekę Bożą i na czas.

W maju wszyscy kolejno cierpieliśmy na tę męczącą gorączkę. Najbardziej jednak wymęczyła ona Mamę i Antka. W czasie tej serii chorób błogosławiliśmy Mamę za ten ciasny, ale nasz osobny kąt do mieszkania.

Posiłki gotowaliśmy w dużej i wygodnej sieni, gdzie był również wielki saszek na zapasy żywności. Babuszka Łondarka przez cały czas bez żadnych skrupułów podbierała nam mąkę z naszego worka, stojącego w tym saszku. Nastia przy pomocy Marysi zbudowała w sieni letnią kuchnię z cegieł, kamieni polnych i gliny. Płytę kuchenną i fajerki zastąpiły na niej oblepione gliną sztabki żelazne i zęby od starych maszyn żniwnych. Normalna kuchenna płyta była tu wielką rzadkością. Ale i na tej glinianej kuchni Alina dokonywała cudów, aby nakarmić naszą liczną rodzinę. Przeważnie jadaliliśmy dwa razy dziennie. Podstawowym jedzeniem była kasza jaglana z ziemniakami na mleku. Kaszę zdobywaliśmy drogą wymiany, a ziemniaki dostaliśmy jako zapłatę za pomoc przy ich sadzeniu w ogrodach mieszkańców kołchozu.

Każda rodzina kołchozowa mogła uprawiać obok swego domu 0,33 hektara ogrodu, oprócz tego hodować krowę i jednego prosiaka. Od krowy opłacano podatek: 240 litrów mleka rocznie (ta ilość wahała się, zależnie od zawartości tłuszczu w mleku, badanej w mleczarni rejonowej), 48 kilogramów mięsa i skórę z cielaka – jeżeli ktoś zostawiał sobie cielę na hodowanie, musiał opłacić ekwiwalent w rublach – oraz czy kto miał kury czy nie, a miał krowę, musiał oddać 100 jaj rocznie.

Przy sadzeniu kartofli – ponieważ nosiliśmy dość krótkie sukienki – wyszło na jaw, że nosimy majtki. Był to powód do ogólnej radości kobiet w kołchozie. Początkowo mówiły, że majtki noszą tylko ładacznice, w końcu przekonały się do nas, poznawszy nasz tryb życia, wciąż jednak oglądały szczegółowo naszą bieliznę, a cudowaniem się i dziwieniom nie było końca.

Zarobione kartofle pozwoliły nam przeżyć kilka tygodni. Prace w ogrodach miały jeszcze tę dobrą stronę, że gospodynie nie najgorzej karmiły wynajętych robotników. Poznawaliśmy też ludzi, warunki życia, a także stopniowo uczyliśmy się rosyjskiego. Z wolna też zaczęła ustępować niechęć mieszkańców Poputni do nas. Przekonali się, że nie jesteśmy ich wrogami, ani nie stronimy od pracy. Wyprawy na sadzenie kartofli do Awierjanowki pozwoliły nam zawrzeć znajomości z tamtejszymi mieszkańcami. Byli to przeważnie Rosjanie, potomkowie zesłańców z carskich czasów czy też dobrowolnych przesiedleńców-kolonizatorów. Oprócz nich mieszkało tu kilka rodzin potomków dawnych rdzennych Sybiraków z plemienia Mordwa. Mówili oni po rosyjsku, lecz pozostała im z dawnych czasów odrębność akcentowania i wymawiania niektórych wyrazów: akcentowali szczególnie dźwięk „O”.

Jedną z tych Mordwinek, babuszka Radiwonowa, u której w ogrodzie sadyli kartofle Jasia i Marysia, zaprosiła nas na „wypominki zmarłych” – miejscowe Zaduszki, które odbywały się tu w którąś niedzielę po

Wielkiejnocy. W sąsiedztwie uboższego cmentarzyka – na którym między małymi, porośniętymi trawą pagóreczkami mogił tkwiły gdzieś niske, krzywe drewniane krzyżyki – kobiety rozłożyły na zeschniętej zeszłorocznej trawie białe ręczniki, jeden za drugim, jakby długi obrus, i po obu jego stronach ustawiły się ze swoimi smakołykami specjalnie przygotowanymi na tę okazję. Były tam bliny ze śmietaną, kilka rodzajów pierożków, chleb, twaróg, jajka na twardo, kawałki kury gotowanej i w glinianych dzbankach kwas do popijania. Przed rozpoczęciem „uczty” wszyscy uczestnicy bili pokłony, żegnali się skośnym krzyżem i śpiewali smutne i przeciągłe wezwanie: *Hospodi, pomiluj duszu raba twojowo – Hospodi pomiluj, Hospodi pomiluj, Hospodi pomiluj*. Modlitwy te, bardzo melodyjne, inaczej brzmiały tu, śpiewane cienkimi i drżącymi głosami kobiet, w porównaniu ze wspaniałym chórem prawosławnych kleryków, którego śpiewów Alina z Marysią chodziły słuchać do cerkwi przy ulicy Ostrobramskiej podczas pobytów w Wilnie.

Potem rozpoczęła się uczta, przy której gospodynie bardzo zwracały uwagę, aby nikt nie był głodny. W czasie spożywania posiłku kilkakrotnie następowały przerwy na modlitwę i śpiewy. Kiedy wszyscy „raby boże” byli już wspomniani i większość smakołyków zjedzona, resztę jaj, blinów i pierożków porozdzielano między gości. Nam dostała się też duża porcja, tak że z zapasami żywności wróciliśmy do Poputni.

Stale kontaktowaliśmy się z Emilką Osipową, której byliśmy wdzięczni za pierwsze „lekcje” syberyjskiego życia i ludzki do nas stosunek. Mama uszyła małej Rajce czerwoną sukieneczkę z jakichś resztek i chodziła czasem do nich uczyć Pawła, za co dostawała dla nas mleko. Kuzynka Osipowych, ciocia Tania, i jej córka Marusia pozwoliły nam w swoim ogrodzie posadzić parę rządów kartofli i posiać trochę nasion jarzyn przywiezionych z domu, ale „uprzejmy” Grigorij Siemionowicz, kiedy mu ktoś doniósł o tym gościu cioci Tani, przyszedł do niej, skrzyczał ją ordynarnie i cały ten nasz nędzny ogródek rozdeptał buciorami. Groził przy tym najgorszymi karami wszystkim, którzy odważyliby się okazać nam życzliwość.

Któregoś dnia zawitało do wsi czarnym samochodem NKWD z rejonu. Stale byliśmy w ich ewidencji i pod ich opieką. Pod pretekstem wręczania sowieckich paszportów zapraszali nas na nocne rozmowy. Wezwali najpierw Mamę, potem Alinę i Marysię. Spisali dane personalne, pytali o zawód, obiecali zatrudnić „według specjalności” i przysłać fotografa do porobienia zdjęć do paszportów. Wszystkie rozmowy odbywały się w kancelarii kolchozu, tak zwanej „kantorze”. Marysia tak się rozzuchwalała, że od tego czasu po kilka razy w tygodniu chodziła do tej „kantory” czytać gazety. Starła się wyłowić z nich jakieś wiadomości o wojnie i o Polsce.

Terenia miała jasne warkoczyki i niebieskie oczy. Miała też śliczne letnie sukienki i kokardy do włosów, i myśmy ją wbrew wszystkiemu w

to ubierały. Wybiegała więc przed dom w majowe i czerwcowe dnie ubrana w kolorowe sukieneczki, drażniąc swoim wyglądem „z innej planety” nieszczęsne, szare istoty w kolchozie. Terenia przeżyła w tym czasie bardzo niebezpieczną przygodę: przy „naszej” studni z żurawiem pojono było kolchozowe, wracające nad wieczorem z pastwiska do obory, zwanej tu „baza”. Bydło było wtedy niespokojne, spragnione, krowy i cielęta pchały się do koryta, a młode, jedno- i dwuletnie byczki uganiały się wokoło, nastawiając czupurnie rogi. I w czasie tego pojenia bydła wybiegła z domu Terenia. Miała na sobie czerwoną sukienkę i czerwone kokardy we włosach. Natychmiast jeden podniecony byczek ją zaatakował, mierząc w nią nisko nachyloną głową! Terenia, przerażona, uciekając do domu potknęła się i upadła – i wcale nie wiadomo, jakby się to skończyło, gdyby nie przytomność kolchozowego pastucha, który przerwał nalewanie wody do koryta, szybko podskoczył, byczka odegnał, a przerażoną Terenię odprowadził do domu. Dziękującej mu naszej Mamie powiedział: „Ratowałem – bo to *rebionok*. Żeby to kto dorosły – nawet bym i nie spojrział w tę stronę”. Takie było początkowo nastawienie miejscowej ludności do „panów z *Polszy*”. Wciąż jeszcze mieliśmy z domu zapas mydła, proszek i szczoteczki do zębów, zapałki, a nawet trochę świec, które już zaczęliśmy oszczędzać na rzecz kopcilki. Staś i Antek nosili swoje harcerskie spodenki i koszule. Wszystkie nasze ubrania, bielizna i buty, okazały się skarbem na tym pustkowiu, gdzie nic nie można było kupić.

Czasem przyjeżdżał wóz z rejonu i za jajka wymieniano sztuczki perkalu, sól, noże i różne drobiazgi. W sklepiku wiejskim bywały zapałki, landrynki o dźwięcznej miejscowej nazwie *lampasje*, a w 1940 roku bardzo rzadko zjawiał się cukier. Niekiedy sprzedawano też miski i dziezki gliniane. Myśmy obywali się naczyniami przywiezionymi z domu, ale na przykład nie wzięliśmy łyżek i talerzy. Kupiliśmy tu więc pięknie malowane drewniane łyżki, a zamiast talerzy używaliśmy małych garnczków i miseczek od menażek.

Ten nasz sposób jedzenia drażnił Grigorija Siemionowicza, który jadąc z Poputni do Awierjanowki nigdy nie omieszkał nas odwiedzić. Czasem przyjeżdżał z nim pełnomocnik z rejonowego komitetu partii i obydwoj usiadłszy w kucki pod ścianą w sieni obserwowali nasze życie przez całe kwadransy, opatrując je uwagami i wybuchami śmiechu.

Dziwiło ich to, że jadamy każdy ze swojego naczynia zamiast wszyscy z jednej miski, intrygował sposób gotowania, nawet robienie zacierek było obiektem gorącego zainteresowania. Najbardziej drażniły ich nasze rozmowy prowadzone po polsku oraz to, że nauczyliśmy się już nie zwracać na nich najmniejszej uwagi. W końcu, w czasie jednej z wizyt, pełnomocnik powiedział do Mamy:

– Ciotko, dlaczego ty mówisz do dzieci po polsku? Przecież mieszkasz w Związku Sowieckim i powinnaś mówić po rosyjsku. Bo my nic nie rozumiemy.

Mama nasza na to:

– Dziwny jesteś, przecież wasza stalinowska konstytucja w paragrafie tym-i-tym, na stronie takiej-i-takiej wyraźnie powiada, że każda narodowość ma zagwarantowane prawo do rozwijania własnej kultury i tradycji oraz używania własnego języka. A my jesteśmy Polacy i mówimy po swojemu.

Na to pełnomocnik zaśmiał się dobrodusznie i powiedział: – Durna jesteś, ciotka. Wierzysz w konstytucję? Konstytucja jest dla nas, a dla was są przypisy.

Nie zmieniliśmy jednak obyczajów, a pomimo to wciąż stanowiliśmy dla nich ciekawy obiekt obserwacji, gdyż póki mieszkaliśmy w Poputni, poty nas odwiedzali. Grigorij Siemionowicz lubił rano przychodzić do naszego pokoju i zachęcać nas do pracy mówiąc:

– No i co, ciotka, ja skończyłem tylko dwie klasy i ja, cham, muzyk, was, inteligentów, gonię do pracy!

Potem pochwaliła się nam jego żona, że ojciec Grigorija był parobkiem w polskim dworze na Ukrainie. Córkę swoją Marusię, bardzo ładną dziewczynę, Łucenkowie wychowywali całkiem „po pańsku”, uczyła się ona w szkole w Petropawłowsku, stolicy województwa, i w czasie wakacji nawet chleba sobie sama nie kroїła.

Kiedys Grigorij Siemionowicz powiedział do Aliny:

– Słuchaj, jak ty mówisz do mnie, to czemu nie zwracasz się do mnie „pan”? Przecież taki jest u was zwyczaj.

Na to Alina:

– Sam powiedziałaś, że jesteś cham i muzyk. Jak ja do ciebie mogę mówić „pan”?

Pewnego dnia odwiedził nas dziwny gość. Linijką, zaprzęzoną w zadbanego konia, przyjechał do wsi nieznajomy człowiek, wysoki, siwiejący, z czarnymi oczami i wąsami. Przyszedł do nas, przedstawił się: „Artaszest Tigranowicz z Iranu, inżynier budowlany”. Zesłany na Syberię na 10 lat za posiadanie irańskiego paszportu. Żona, profesor uniwersytetu, mieszka w Leningradzie. Ma prawo raz w miesiącu napisać do niego list. Właśnie niedawno mu doniosła, że przeżyła wielki dzień: kupiła kilka jaj i z dwóch usmażyła sobie jajecznicę!

Sam Artaszest mieszkał w Jawlence, stolicy lenińskiego rejonu i nadzorował wszystkie budowy prowadzone na tym terenie. W związku z tym bywał we wszystkich okolicznych kolchozach, gdzie spotykał Polaków. Miał przy sobie kartki z ich nazwiskami i wśród nich adres pani Stasi, która mieszkała o 16 kilometrów od nas we wsi Nowouzinka, w kolchozie zamieszkałym przez kolonistów niemieckich. Artaszest powiedział nam, że córeczka pani Stasi choruje i że teściowa coraz bardziej dziecinnieje. Od niego także usłyszeliśmy następującą historię.

Do Nowouzinki przywieziono żonę burmistrza z Wołkowyska z szesnastoletnim synem. Chłopiec dostał silnego ataku bólów brzucha,

wskazujących na zapalenie ślepej kiszki. Matka błagała przewodniczącego kolchozu o konie do szpitala w Jawlence, oddalonej o 65 kilometrów. Przewodniczący odmówił tłumacząc, że nie da koni, gdyż są potrzebne do pracy w polu, a zresztą *was, wragów naroda, na to zdies' priwiezli, szto b' wy podochli*. Matka klękała przed nim i całowała jego buty. Koni jednak nie dostała. Chłopiec skonał w okropnych bólach na kolanach odchodzącej od zmysłów matki.

Artaszest Tigranowicz dołączył nasz adres do swojego zbioru, powiedział nam sporo miłych rzeczy o Polsce, Polakach, Warszawie, którą znał sprzed pierwszej wojny światowej i nazywał Paryżem Północy, obiecał odwiedzać... i pojechał. Wiele razy potem nas jeszcze odnajdywał, przywoząc wieści o Polakach, którym ile mógł, pomagał. Z tego powodu nazywano go polskim wujkiem. Alina najbardziej z nas zaprzyjaźniona z panią Stasia i jej młodszym rodzeństwem – kolegami z jednej klasy – następnego dnia wybrała się do niej i wróciła po kilku dniach zmartwiona z powodu choroby dzieci. Pani Stasia obiecała nas odwiedzić, gdy tylko jej czas i możliwości pozwolą.

Przyjechał fotograf z rejonu i porobił nam „błyskawiczne” fotografie, na których twarze były wielkości paznokcia. Chociaż tak małe, widoczne były na nich przygnębienie i smutek. Po paru tygodniach towarzysze z NKWD przywieźli i wręczyli nam paszporty, opatrzone pieczęciami i podpisami, z zastrzeżeniem, że swobodnie poruszać się możemy tylko w obrębie rejonu lenińskiego.

Ludność Poputni była pochodzenia ukraińskiego, przesiedlona tu przed 40-50 laty karnie lub dobrowolnie, ale już przywiązana do ziemi, klimatu i życia w tych warunkach. Mówili oni po rosyjsku z wielką domieszką ukraińskiego, co się szczególnie uwidaczniało w piosenkach. Tu nauczyliśmy się pięknej ukraińskiej dumki:

*Rewe taj stohne Dnibr szyrokiy,
serdytyj witer zawewa...
Do nyzu werby hne wysoooki,
Horami pihu pidyma...*

i wielu innych piosenek, jak *Rozprehajte, chłopci, koni, Skakał Kozak czerez dolinu, Tam pid hajem, hajem, hajem zeleneńkim*, a przede wszystkim syberyjskiej „ballady” wędrownych rozbójników:

*Jesli ty mienia spolubisz,
Nie pobrezgiwajesz mnoj,
Tak pojdiem, moja czuldanoczka,
Po dorożkie stolbowoj.
Wozmiom palki dlinnyje, wostryje,
Na zaszczitu złych sobak,
I pojdiem, moja czuldanoczka,
Po Sibiri worowat'.
Gdzie ukradiem, gdzie zwojujem,
Gdzie wozmiem na wierniaka,
Gdzie kupca w lapti obujem,
Gdzie prichwatim czudaka.*

Jej dzika melodia i w jakimś niebywałym żargonie ułożone słowa do dziś przejmują nas dreszczem – tak są związane z tamtymi realiami:

*Na Sibiri kapitału
Sorok tys'czy ja ukrał,
A s toboj, moja czuldanoczka,
W odnu noczku prohulał.
Ej, wy pticzki, kanariejki,
Nie lietajcie wysoko,
Ja sama pro eto znaju,
Szto moj miłyj daleko.
Ej, wy pticzki, kanariejki,
Nie lietajcie wysze wstiech –
Ja sama pro eto znaju,
Szto moj miłyj łuczszje wsiech.
Ej, wy pticzki, kanariejki,
Nie lietajcie nad oknom –
Ja sama pro eto znaju,
Szto moj miłyj pod kluczom.*

Wszystkie te piosenki przynosił Staś z pracy w brygadach polowych, oddalonych od domu o 10-15 kilometrów, gdzie spędzał po kilka dni z parą *prikreplionnych* do niego wołów, na których pracował.

Któregoś dnia pod koniec maja, w jakiś dzień świąteczny, kiedy jedliśmy nasze „święteczne” śniadanie – kluski na mleku – i byliśmy mocno przygnębieni z powodu ciężkiej febry Antka – otworzyły się drzwi naszej izdebki u babuszki Łondarki i weszło do nas dwoje ludzi: wysoki mężczyzna z jasnymi włosami i wąsami i z niebieskimi oczami, z dosyć tęgą uśmiechniętą kobietą. Ich ubiór nie budził wątpliwości – byli to miejscowi Sybiracy, lecz odwieczne powitanie Polaków wypowiedzieli najczystsza polszczyzną: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” Ogromne zaskoczenie i osłupienie – a potem wielkie wzruszenie znalazło swój wyraz w naszych łzach. Usłyszeć te słowa tak daleko od kraju wydawało się zupełnym nieprawdopodobieństwem. Potem, w rozmowie, dowiedzieliśmy się historii tych ludzi.

Byli oni mieszkańcami dużej wsi, odległej od Poputni o 12 kilometrów. Kupili od nas kilka kuponów materiału na męskie koszule i na spodnie i obiecali przywieźć za to deski na prycze oraz mąki i kaszy jaglanej. Cztery szerokie, grube deski, przywiezione w przeciągu kilku dni, przypilowane i zestawione jak należy przez fachowców, stworzyły wspañiałe łóżko-pryczę, nareszcie prawdziwe, wysoko nad ziemią, na koziołkach, oraz dość długą ławkę i stołek. Na tym łóżku i na dwóch wielkich siennikach sypiało wygodnie cztery, mniej wygodnie – pięć osób. Był to jeden z najwspanialszych i najmądrzejszych zakupów naszej Mamy. Prycze służyły nam przez cały czas naszego pobytu na Syberii i jeszcze przed wyjazdem wymieniliśmy je na chleb na drogę.

Z tymi ludźmi umówiliśmy się – i w niedługim czasie wybrały się do nich Alina z Marysią. Wieś, do której przyszły, była duża, porządnie rozplanowana, z obszernym placem i skwerem pośrodku. Przy placu –

duży budynek szkoły z wysokim dachem, urzędy kołchozowe, siedziba rady gminnej, tak zwanego *sielsowietu*, i niewielki budynek przedszkole. Za domami – stajnie, obory, chlewy, spichrze, mleczarnia i wiatrak. Domy mieszkalne, zestawiane po dwa, wprawdzie z samanu, ale bardzo starannie wykonane, obejścia czyste i celowo zagospodarowane. Nawet ogródki przydomowe utrzymane porządnie. Łaźnia, piekarnia, drogi, a także konie i bydło – wszystko nosiło piętno dobrej i celowej gospodarki. Różnice między tą wsią a Poputnią czy Awierjanówką były tak rzucające się w oczy, jakby ta wieś leżała nie tylko w innym rejonie, ale i w innym kraju.

Kołchoz ten było to *sielo* Južnoje (*kellerowskij rejon, kokczetawskaja obłast*'), kołchoz imienia Kirowa pod nazwą *Tropinka Iljicza*. Zamieszkiwali je Polacy, stanowiący część wywiezionych na Syberię w 1936 roku (w liczbie 600 000) mieszkańców sowieckiej Ukrainy, z rejonów graniczących z Polską: z nad Zbrucza, z okolic Kamieńca Podolskiego, Winnicy, Żytomierza. Wywiezieni zostali w ramach akcji „zapewnienia bezpieczeństwa na obszarach przygranicznych” w razie ewentualnych pertraktacji Hitlera z rządem Polski o przepuszczenie wojsk niemieckich na sowiecką Ukrainę. Ludzi tych wywożono latem, po zniwach. Każda rodzina dostała wagon towarowy. Mogli zabrać konie, bydło, wozy, mniejsze maszyny rolnicze, żarna i cały ruchomy dobytek. Wywieziono ich do Północnego Kazachstanu i zostawiono na pustym stepie, z wytyczonym planem kołchozu.

Na teren przyszłej wsi Južnoje przyjechało kilkaset osób; pozostałych rozmieszczono na innych obszarach Kazachstanu. Dano im namioty i polecono budować domy z cegieł wykonanych własnoręcznie z gliny, zmieszanej z siczką i wodą i wysuszonych na słońcu. Takie cegły zwano tu *saman*. Po drzewo na konstrukcje dachowe i stolarkę trzeba było jeździć wołami do lasu oddalonego o 50-70 kilometrów. Budynki mieszkalne i pomieszczenia dla bydła ukończyli jako tako do listopada.

Zima rozpoczyna się w tym kraju zwykle w połowie października, w listopadzie są już mrozy i zawsze pada śnieg. W namiotach lub w jamach wykopanych w ziemi i przykrytych darnią, w których mieszkały rodziny w ciągu lata i jesieni, wymarły dzieci i starzy ludzie – została młodzież i ludzie w średnim wieku. Zmarłych chowano na cmentarzu założonym opodal wsi, na którym kobiety stoczyły milczącą, tępą, udęcącą walkę z władzami rejonowymi o ustawienie krzyża z Pasyjką, wyrzeźbioną w drzewie przez jednego z przesiedleńców. Krzyż stawiany w nocy, wykopywany był za dnia – i tak przez wiele tygodni – aż w końcu władze ustąpiły i krzyż został.

Do tego kołchozu na wiosnę 1940 roku przywieziono kilka polskich rodzin. Ludzie „miejscowi” zetknęli się po raz pierwszy od długiego czasu z Polakami z Polski, do której modlili się i tęsknili całymi latami. Los wygnańców z 1940 roku był we wsi Južnoje o wiele lżejszy niż we wsiach ukraińskich czy rosyjskich.

Alina i Marysia przyszły do domu tej kobiety, która nas odwiedziła tego pamiętnego dnia. Nazywała się Zofia Bogucka, jej mąż był brygadierem polowym w kolchozie, a piętnastoletni syn Zygmunt uczył się w mieście. Była to sympatyczna rodzina. Pani Bogucka była pogodna, dość powolna, zawsze uśmiechnięta i znakomicie gospodarowała razem z mężem na swoim niewielkim gospodarstwie. Mieli nie najgorzej urządzonego dom, oczywiście z klepiskiem zamiast podłogi, przyzwoite – jak na owe możliwości – użyteczne meble, ładną pościel. Rozbudowana część gospodarstwa chroniła dom od wiatrów w zimie i tak była pomyślana, że zapewniała łatwy dostęp do pomieszczeń dla bydła i urządzeń gospodarczych bez konieczności wychodzenia zimą na zewnątrz. Boguccy mieli dwie krowy, prosiaka, kilkanaście kur, dobrze zagospodarowany ogród i doskonale żarna. To urządzenie było w każdym gospodarstwie, uniezależniając mieszkańców od kaprysów wiatru i umożliwiając zawsze zmielenie nawet niewielkiej ilości ziarna.

Alina i Marysia wymieniły trochę ubrań na produkty i poszły zobaczyć wieś oraz poszukać przesiedlonych Polaków. Poznały wtedy panią Halę Garbarczykową, żonę kapitana z pułku stacjonującego w Łucku czy może w Równem na Wołyniu. Pani Hala była szczupłą, średniego wzrostu, bardzo zgrabną, o mocno opalonej teraz twarzy i uśmiechniętych oczach, w kącikach których potworzyły się zmarszczki, biegnące na skronie. Ubierała się stosownie do okoliczności w jakieś spódnice i bluzki, wiązała chustkę chroniąc włosy i głowę przed nadmiarem słońca, ale nawet w tym „zgrzebnym”, roboczym ubraniu jej ruchy, sposób chodzenia, pochYLENIE głowy zachowały wdzięk i elegancję, podkreślona jeszcze miłym sposobem bycia i uśmiechem. Przywieziono ją tu razem z matką, przerażoną i zatroskaną starszą panią, z dziewięcioletnią córeczką Irenką i siedmioletnim synem Jurkiem.

Rodzina ta mieszkała w typowej dla Jużnego chacie u samotnej kobiety, ale na ścianie glinianej izby – z jednym oknem i klepiskiem zamiast podłogi – panoszył się po królewsku przywieziony przez panią Halę rodzinny skarb – XVIII-wieczny gobelin. W pięknych, stonowanych zieleniach, szarościach i brązach przedstawiał jakąś pogodną, sielską scenę parkowo-łąkową, z wdzięcznymi postaciami ludzi w wytwornych strojach, z łaskawymi zwierzętami i prawie rajska roślinnością. Gobelin miał wymiary około 2 na 1,5-1,8 metra i obszyty był długą jedwabistą frędzlą. Przetrwał szczęśliwie całe sześć lat, troskliwie chroniony przez właścicielkę przed wilgocią i kurzem i wrócił z nią potem do kraju. Jedyne frędzle wymieniła pani Hala na pszenicę, w jakimś tragicznym momencie ratując rodzinę od głodu.

Którejś niedzieli Alina z Marysią odbyły inną atrakcyjną wycieczkę – w okolice kuszącej na horyzoncie Sopki. Dzięki Artaszestowi Tigranowiczowi odnaleźli nas Witek i Władek, i przyszli nas odwiedzić. Zaprosili nas do swojej wsi Zagradowka, leżącej nad słonym jeziorem, w

malowniczym otoczeniu u stóp góry. „Na oko” było do Zagradowki około 25 kilometrów, siostry wyszły więc przed wschodem słońca, aby dojść na miejsce przed największym upałem. Widziały wtedy niesamowite zjawisko – „podnoszenie się horyzontu”.

Liliowe światło wstającego dnia nasycalo się coraz bardziej różowością. Horyzont miał o tej porze kształt wklęsłej miski z podniesionymi brzegami. Przedmioty znajdujące się w ciągu dnia poza linią widnokregu ukazywały się nagle na jego krawędziach. W taki sposób wyłoniła się właśnie wieś Zagradowka z jej pięcioma wiatrakami i matową taflą jeziora, w tym złoto-różowo-liliowym świetle. Znikło to wszystko natychmiast po wschodzie słońca, a dookoła roztoczył się niezmierny step, pokryty trawą i barwnymi kwiatami, których kolory coraz wyraźniej wydobywało światło podnoszące się na niebie słońca. Zjawisko wyłaniania się przedmiotów zza linii horyzontu przed wschodem słońca obserwowaliśmy na Syberii jeszcze wielokrotnie. Widywaliśmy tu również odbijanie się w drgającym w czasie upału powietrzu oddalonych przedmiotów – domów i drzew – które przy zbliżaniu się do nich wracały do normalnej pozycji i wymiarów.

Wyprawa do Zagradowki była wspaniała. Matka Witka i Władka była gościnną i serdeczną, obaj chłopcy zaprowadzili Alinę i Marysię we wszystkie ciekawe, godne obejrzenia miejsca. Sopka, góra pochodzenia wulkanicznego, utworzona była u podstawy z doskonale widocznych warstw lawy, porośniętych bujną, piękną roślinnością; między innymi rosły tu ogromne rozchodniki. U stóp góry leżało jezioro tak słone, że w czasie letnich upałów sól zbierała się na przybrzeżnych kamieniach. Okoliczni mieszkańcy polewali kamienie wodą z jeziora i po jej wyparowaniu zbierali sól. Na brzegach występował też rodzaj bardzo białej, o niebieskawym odcieniu glinki, którą wydobywali, lepili z niej duże kule, suszyli na słońcu i sprzedawali w pobliskich wsiach do bielenia domów. Po drugiej stronie Sopki wznosiła się druga góra, z naszej Poputni niewidoczna. Obie góry i ich podnóża porośnięte były sosnowymi laskami i brzożowymi gajami.

W zielonym krajobrazie pomiędzy górami leżał Bajskłan – autentyczna wieś Kirgizów, nazywanych tu teraz Kazachami. Witek i Władek pracowali tu przy jakichś budowach i mieli dużo przyjaciół. Ponieważ było lato, wszyscy Kazachowie mieszkali w jurtach. Jurt było wiele. Starannie uplecione z gałązek ścianki o wysokości 2-2,5 metra, ustawione w kształt koła, nakryte były przemyślną, stożkową konstrukcją z żerdzi i gałęzi. Sylwetki jurt pozostawały w doskonałej harmonii z krajobrazem i zarysami niedalekich gór. Chodzące pomiędzy jurtami białe postacie mieszkańców potęgowały jeszcze egzotyczny nastrój obrazu, który idealnie odpowiadał encyklopedycznym opisom osiedli kirgiskich w sercu Azji.

Kobiety i mężczyźni ubierali się podobnie. Nosili szerokie białe szarawary i na nie długą, białą koszulę, której przód dla wygody i swobody ruchów zapychany był za pasek spodni. Na to kładli długą, zwykle

czarną kamizelę, u kobiet zapinaną na wielką ilość sprzączek i błyszczących guzików – często pieniążków – których dużo naszytych było również dla ozdoby. Wśród tych pieniążków trafiały się polskie przedwojenne srebrne dwu-, pięcio- i dziesięciozłotówki. Małe dzieci umieszczano na plecach matek i podwiązywano płócienną płachetką; ich czarnowłose główki z płaskimi noskami i bystrymi oczkami wyzierały zza pleców rodziców. Na głowach nosiły kobiety wymyślne nakrycie: rodzaj welonu, połączonego z „podwiką” średniowieczną. Strój ten był dla nich bardzo korzystny, ukazywał bowiem jedynie równo rozczesane na boki pasma czarnych włosów nad czołem i ciasno objętą przez welon twarz. Wszystkie kobiety trzymały w rękach wrzeczona, a za paskiem miały zatknięty kłak waty lub wełny. Chodząc, siedząc czy mówiąc kręciły grubsze lub cieńsze nitki. Tkwały z nich potem wąskie paski materiału o pięknych wzorach, na prymitywnych, ale precyzyjnie wykonanych małych warsztatach tkackich, których kilka stało między jurtami. Mężczyźni nosili na głowach turbany, a na koszulach także czarne kamizelki, dłuższe jednak i z mniejszą ilością ozdób niż u kobiet.

Wszyscy Kazachowie palili fajki na długich cybuchach. Mieli bardzo wystające kości policzkowe, skórę o odcieniu żółtawo-brązowym, bystre oczy patrzące spod turbanu i śmieszny, rzadki zarost. Wąsy zaczynały im się na poziomie kącików ust i cienkie ich pasemka zwisały po obu stronach brody, tworząc wraz z jej zarostem rzadką kitkę włosów. Pomimo to starzy Kazachowie wywierali wrażenie dostojeństwa i powagi. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni mieli delikatne i smukłe dłonie.

Witek i Władek byli w Bajskłanie bardzo zadomowieni. Znając już trochę wyrażen w tubylnym języku, porozumiewali się nawet z kobietami. Z mężczyznami byli „za pan brat”. Największego ich przyjaciela Kindżibułata – o zabawnym zaroście i kaczym chodzie na pałakowatych nogach – przywoływali przeraźliwym gwizdem. On przybiegał z wyrazem szczęścia malującym się na żółtawym obliczu, a ciągnie go za brodę i wąsy przyjmował jak najmiłszą pieczętę. Ze strony chłopców były to zresztą wyłącznie wyrazy uczucia i gesty przyjaźni. Witek i Władek, Alina i Marysia zostali zaproszeni do jurty Kindżibułata na *czaj s masłom*.

Wnętrze jurty wywierało wielkie wrażenie: ściany, plecione z gałęzi, wewnątrz wyłożone były pięknymi wojłokami koloru beżowego lub szarego, z aplikacjami z czerwonego sukna, tworzącymi przedziwną plecionkę o zawiłym, abstrakcyjnym rysunku. Dach jurty nakryty był skórami zwierząt w ten sposób, że w środku pozostał otwór. Na ziemi leżały grube wojłoki, poduszki i pęki skór, służące do siadania i do spania. Pod otworem na środku jurty paliło się, stale podsycane, małe ognisko; cienka stróżka dymu unosiła się do góry, podsuszając i przydymiając kawały baraniego mięsa, wiszące na żerdziach i drażkach pokrycia dachowego. Pod ścianą, obok stosu poduszek i wojłoków, stało malutkie, drewniane łóżeczko, przemyślnie wykonane i – sądząc z wyglądu – liczące sobie co

najmniej pół wieku. Leżał na nim mały synek Kindzibułata – duma i nadzieja rodziny.

Matka przewijała właśnie dziecko, goście mieli więc możliwość zobaczenia tej jedynej w swoim rodzaju ceremonii. Niemowlę, zupełnie nagie, było owijane od stóp do głowy w pieluszki, z wyciągniętymi rączkami i nóżkami – na kształt mumii. Wysoko pomiędzy nóżki wkładano mu kostkę szpikową w kształcie rurki. Był to rodzaj „kanalizacji”, gdyż koniec tej rurki wychodził na zewnątrz przez siano ułożone w łóżeczku i odprowadzał nadmiar wilgoci, odejmując wiele pracy matce. Kostka owa była zbrązowiała od wieloletniego używania. Owinięte w pieluszki dziecko było następnie ciasno okręcane rodzajem bandaża i układane równo w swoim wąskim łóżeczku, przykryte miękkim kawałkiem wołoku, i jedyne co mu pozostawało – to spać.

W środku jurty stał okrągły, niski stolik z samowarem i małymi, porcelanowymi miseczkami, ozdobionymi pięknym rysunkiem. Teraz stolik wysunięto, dla gości przygotowano wołoki i skóry. Żona Kindzibułata nastawiła samowar i po wymianie obowiązujących ukłonów i gestów grzecznościowych goście usadowili się dookoła stolika. *Czaj kir-picznyj*, sprasowany w cegielki, gospodyni porąbała na drobne kawałki i włożone do porcelanowego czajniczka zalała gorącą wodą. Potem lała nam ten aromatyczny napój o mocnym, czerwono-brązowym kolorze do porcelanowych miseczek i dokładała do każdej po kawałku masła, biorąc je palcami. Do herbaty podała pieczone w żarze ogniska płaskie placki z pszennej mąki oraz kawałki dziwnego, szaro-różowego sera z koziego mleka. Kindzibułat mówił po rosyjsku, z jego żoną wymienialiśmy jedynie gesty i uśmiechy uprzejmości i podziękowań. Potem poszliśmy do innych jurt zobaczyć, jak robią *ajran* – rodzaj jogurtu o ostrym, szczypiącym smaku, oraz zostaliśmy zaproszeni na prawdziwy *kumys*, który tu nosi nazwę *szampan*, jest robiony z mleka kłaczy i przechowuje się go w skórzanych workach, w których on dojrzewa.

Wizyta w Bajskłanie przeciągnęła się do późnego popołudnia, toteż mowy nie było o powrocie tego samego dnia do domu. Alina i Marysia przenocowały u przyjaciół i o wschodzie słońca wyszły, odprowadzone przez Witka, Władka i ich matkę do ostatnich domów wsi. Zgradowka ze swoimi wiatrakami, drzewami i płótkami przy białych domach przypominała polską wieś – serca im ścisnęła tęsknota i poczucie oddalenia. Droga wiodła przez piękny, wiosenny step, pełen kwiatów i śpiewu skowronków, tak że szybko przebyły dzielące je od domu w Poputni 25 kilometrów.

Pewnego popołudnia przyszła do nas – a właściwie przywlokła się – pani Stasia z Rysiem na ręku. Oddała Rysia któregoś z nas i ze szlochaniem rzuciła się w objęcia Mamy. Wraciała z Jawlenki, gdzie pochowała swoją malutką córeczkę. Opowiedziała nam, że kiedy choroba się nasiliła, wzięła dzieci na ręce i poszła z nimi 65 kilometrów na piechotę przez

step, do lekarza. Dowłokła się tam, ale ratunku dla córeczki i tu nie znalazła. Pani Stasia pracowała w kuchni szpitalnej, zmywając naczynia i podłogi, aby być bliżej dziecka. W pierwszą rocznicę swoich urodzin i w dzień swoich imienin, 26 lipca, Ania otworzyła oczki i powiedziała: „Mama!” – i opuściła świat, który ją zdążył tak wymęczyć. Matka zdobyła gdzieś drewnianą skrzynkę, włożyła do niej swoją malutką męczenniczkę i pochowała ją sama na miejscowym cmentarzu. Po kilku dniach, ochłonawszy trochę, wzięła Rysia na ręce i wracała do teściowej i do pozostawionych rzeczy. Miała zamiar przenieść się do Jawlenki, gdzie był szpital, lekarze i więcej możliwości znalezienia pracy. Po tej morderczej wyprawie nogi i ręce miała strasznie umęczone. Ta młoda kobieta, lekarz-dentysta, wychowana i żyjąca w dobrobycie – teraz załamana i wychudła, z nogami pokrytymi węzłami potwornych żyłaków – z trudem mogła przypominać elegancką panią doktor, jaką znaliśmy przed wrześniem 1939. Odprowadziliśmy ją do Nowouzienki, do jej domu, niosąc Rysia, kiedy mu się nóżki zmęczyły. Przed jej przeprowadzką do Jawlenki Alina odwiedziła ją kilkakrotnie i pomogła jej w pakowaniu rzeczy przed wyjazdem.

Lato było w pełni i rozpoczynało się robienie kiziaku. Był to bardzo ważny okres w życiu tutejszych ludzi. Ziemia nie potrzebowała nawożenia, więc nawóz spod krów i świń wraz z ludzkimi ekskrementami z całej zimy, zmieszany ze słomą podścielaną krowom, wyrzucano na stertę i polewano wodą. W czasie największych upałów rozrzucano ten nawóz, aż utworzył płaski krąg, lano na niego wodę, mieszano dokładnie nogami i widłami wrzucano do zmoczonej drewnianej formy, kształtującej tę masę w dwie duże cegły o wymiarach 40 na 20 i 12 centymetrów. Układano je na trawie dookoła domu. Suszyło je słońce i wiatr. Trzeba było je przewracać i układać w przewiewne sterty. Kiedy wyschły, znoszono je pod dach. Czym więcej ich było koło domu, tym większa pewność ciepła w zimie. Był to w tutejszych warunkach bardzo dobry opał. Po wysuszeniu nie wydzielał w czasie palenia przykrego zapachu, a wartości ogrzewcze miał zbliżone do torfu. Ogarniało nas przerażenie na myśl, że mamy wykonywać tę obrzydliwą pracę. Już w jakiś sposób byliśmy uodpornieni, gdyż głównym opałem w tym kraju był szybko wysychający nawóz bydlęcy, zbierany na pastwisku, ale drętwiała nam skóra na myśl o wejściu nogami w to paskudztwo... i potem o uklepywaniu rękami tej masy w formach.

Przyszła nam znowu z pomocą nieoceniona Osipowa: zaproponowała, żebyśmy jej pomogły przygotować kiziak na zimę. Poszły więc Marysia, Jasia i Zosia. Osipowa była tak wyrozumiała, że nie śmiała się ani z ich łez, ani z objawów odrazy, jaka je napełniała – szczególnie w czasie jedzenia posiłków rękami cuchnącymi pomimo długiego mycia. Potem i do tego przyzwyczailiśmy się i tego lata w Poputni stanowiłyśmy ekipę wykwalifikowanych producentów kiziaku. Podczas tych prac zarobiłyśmy kilka setek drogocennych cegiełek.

Doświadczenia „kiziakowe” przydały się nam, kiedy dostałyśmy propozycję pracy przy produkowaniu *samamu*. Przedsiębiorcą był Zawadzki ze wsi Južnoje, który nie wstąpił do kołchozu, a będąc w tym społeczeństwie parszywą owcą, jako indywidualista – *odinolicznik* – angażował się do różnych prac w okolicy: kopał studnie, robił *saman*, budował chlewy, budował domy, nakuwał kamienie młyńskie itp. W domu swoim przechowywał papiery szlacheckie od króla Władysława IV, miał obraz Matki Boskiej z Kalwarii Zebrzydowskiej i polską książeczkę do nabożeństwa z XIX wieku. W naszym kołchozie zawarł umowę na wykonanie *samamu* do budowy nowej obory i szukał ludzi do pomocy, obiecując nieźle zapłacić. Ponieważ „poligon produkcyjny” zakładano przy „naszej” studni z żurawiem, wynajęłyśmy się – Jasia (15), Zosia (15) i Marysia (18 lat) – do tej pracy.

Wbito wielki pal w ziemię, obrysowano krąg, usunięto z niego darninę. Do pala na przegubie zaprzęgnięto dwa woły ciągnące pług i cały ten krąg ziemi zaorano na głębokość lemiesza. Teraz lano wodę ze studni wielkimi, ciężkimi wiadrami. Sześćset wiader. Cały czas wodę z zaoraną ziemią miesiły woły. Następnie wsypano w to dwa wozy sieczki i znów miesiły to woły, ciągnąc teraz tak zwany rak, czyli krótką belkę z nabitymi na niej łokciowej długości drewnianymi kolcami. Wciąż w tę mieszaninę lało się wodę. Ręce nas od tych okutych wiader bolały i marzły, gdyż mimo lipca i wielkich upałów woda w studni była lodowato zimna. Kiedy już mieszanina była jednolita, widłami narzucało się ją na wózek, którym wół rozwoził ją na „stanowiska produkcyjne”, gdzie kobiety wrzucały tę glinę do mokrych form ułożonych na trawie. Dokładnie udeptywały nogami i podnosiły formę. Na trawie zostawały dwie cegły wielkości około 50 na 25 i 13 centymetrów. Wysuszone układało się w sterty.

Najcięższymi pracami w całym tym procesie wytwórczym było: wydobywanie ze studni i wylewanie wody, wyrywanie widłami wymieszanej gliny ze słomą z masy – szczególnie wtedy, kiedy warstwy zeszły na niższe poziomy jamy – wyrzucanie gliny z jamy na wózek oraz układanie cegieł w sterty. Zwykle wykonywali te prace mężczyźni, ale my – nie mając żadnego doświadczenia, a w perspektywie niezły zarobek – zgodziłyśmy się do tej roboty. Niestety, Zawadzki okazał się zwykłym oszustem, mimo swoich „szlacheckich papierów”, i za taką ciężką, wielotygodniową pracę trzech dziewcząt nie zapłacił nam ani grosza. Nie pomogły żadne upominania się ani chodzenie do niego – po prostu nie zapłacił! Myśmy natomiast przypląciły to zdrowiem. Wszystkie dostałyśmy na rękach i nogach bolesnych wrzodów, które nas potem nękały całymi miesiącami, a biedną naszą Zosię przykuły do łóżka na pięć lat.

Zbliżała się jesień. Przed nami – perspektywa spędzenia zimy w malutkiej izdebce, bez pieca, w wielkiej ciasnocie. Trzeba było pomyśleć o nauce chociaż dla Tereni i Antka. Toteż Mama zaczęła myśleć o przeprowadzce. Najbardziej odpowiadałoby nam przeniesienie się do Južne-

go, ale kołchoz ten leżał w innej „obłasti” i nawet wyprawy w celach handlowych były nielegalne. Pozostanie w Poputni było też niemożliwe. Mama wyprawiła się do Awierjanowki – głównej wsi naszego kołchozu – i znalazła tu dla nas „przestrzeń życiową”. Była to letnia kuchnia u towarzyski Paraski Barabanowej, *zaw-choza Me-Te-Fe*, czyli *zawiedujuszczey chozajstwem mołoczno-towarnoj fiermy*, czyli dyrektora obory i przyległości.¹

¹ Jest to przedruk z książki: G. Jonkajtys-Luba (Maria Januskiewicz) „...was na to zdieś priwiezli, sztoś wy podochli”. *Kazachstan 1940-1946*, Lublin 1999, Wydawnictwo „Norbertinum” seria wydawnicza „Z nieludzkiej ziemi”. Publikowany fragment pochodzi ze stron: 13-46. Redakcja dziękuje Autorce za zgodę na dokonanie przedruku, natomiast wydawnictwu „Norbertinum” za udostępnienie elektronicznej wersji tego tekstu. Pierwsze wydanie tej książki ukazało się w Instytucie Literackim w Paryżu w roku 1982, dzięki redaktorowi Jerzemu Giedroyciowi.